Nr. 42. Sobota dnia 18-go października 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę 23-cią po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Filipensów rozdział III, wiersz 17—21 i rozdział IV, wiersz 1—3.

Bracia! Bądźcie naśladowcami moimi, a upatrujcie te, którzy tak chodzą jako macie wzór nasz. Boć wiele ich chodzi, którem wam często opowiadał, a teraz i płacząc powiadam, nieprzyjaciele Krzyża Chrystusowego; których koniec, zatracenie: których Bóg jest brzuch: i chwała w sromocie ich, którzy ziemskie rzeczy miłują. A nasze obcowanie jest w niebiesiech, skąd też Zbawiciela oczekiwamy, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który przemieni ciało podłości naszej, przygodobane ciału jasności swojej wedle skuteczności, którą też wszystko podbić sobie może.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział IX, wiersz 18—26.

W owym czasie, gdy Jezus mówił do rzeszy, oto książę jeden przystąpił i pokłonił Mu się, mówiąc: Panie! Córka moja dopiero skonała, ale pójdź, włóż na nią rękę Twoją, a żyć będzie. A wstawszy Jezus, szedł za nim i uczniowie Jego. A oto niewiasta, która krwiotok przez dwanaście lat cierpiała, przystąpiwszy z tyłu, dotknęła się kraju szaty Jego. A mówiła sama w sobie: Bym się tylko dotknęła szaty Jego, będę zdrowa. A Jezus, obróciwszy się i ujrzawszy ją, rzekł: Ufaj córko, wiara twoja uzdrowiła ciebie. I uzdrowiona jest niewiasta od onej godziny. A gdy przyszedł Jezus w dom księcia i ujrzał piszczki i lud, zgiełk czyniący, mówił: Odstąpcie, albowiem nie umarła dzieweczka, ale śpi. I śmiali się z Niego. A gdy wygnano rzeszę, wszedł i ujął rękę jej, i powstała dzieweczka. I rozeszła się ta sława po wszystkiej onej ziemi.

NAUKA.

„Ufaj, córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła."

Uproszony przez jednego księcia, idzie Pan Jezus do jego domu, aby mu umarłą jego wskrzesić córeczkę. Wtem niewiasta pewna doń się przybliża, która przez lat dwanaście krwawą niemoc cierpiała. Przybliża się, a mówi sobie: „Bym się tylko dotknęła szaty Jego, będę zdrowa". I dotknęła się: „A Jezus, obróciwszy się i ujrzawszy ją, rzekł: Ufaj, córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła. I uzdrowiona jest niewiasta od onej godziny." Cóż ją uzdrowiło? Wiara jej w Pana Jezusa, że On Bogiem jest, że i zastarzała jej choroba na Jego rozkaz ustąpi. I ustąpiła. Tak więc wiara dała jej zdrowie, a ze zdrowiem i szczęście doczesne.

Prawda to zresztą niezbita, że wiara przynosi nam i szczęście doczesne. Wszak rękami nieomal dotykamy się tego, na własne widzimy to oczy. Jednego jednak potrzeba, aby nam wiara szczęście przynosiła. Potrzeba mieć wiarę żywą, nie zaś malowaną. Bo są ludzie, co mają wiarę, ale malowaną. Widziałeś kiedy ogień, na obrazie namalowany. Przybliż się doń, nie bój się, nie spieczesz się przy nim, ani nie zagrzejesz. Otóż i taka wiara malowana nie zagrzewa serca człowieka, ani go do życia dobrego nakłania. Wiara taka jak ten skarb wygląda, w ziemi zakopany, niepożyteczny nikomu. Taka wiara martwą jest i żadnego nam szczęścia nie daje.

Kiedy więc mówię, że wiara nam i szczęście doczesne przynosi, to mówię to o takiej wierze, co z nami w domu jest i w kościele, przy pracy i spoczynku, na jarmarkach i na weselach. O takiej wierze to mówię, która się i w życiu objawia.

Otóż taka wiara daje człowiekowi i szczęście doczesne. W jakiż to sposób? W taki oto sposób, że daje mu spokój sumienia. Szczęście to nad wszelkie szczęście ten spokój sumienia! Człowiek, co ten spokój ma, wygląda jak ten dzionek wiosenny, pogodny, kiedy to i słońce tak miluchno nam świeci, i cała ziemia w świąteczną się szatę przystraja, kiedy i woni pełno w powietrzu i śpiewu ptasząt też pełno. Jakże to rozkosznie rzucić wtedy okiem po tym Bożym świecie. Otóż taka rozkosz napełnia i serce człowieka, co ma spokój sumienia. O takich mówi Pismo św.: „Pokój wielki tym, co zakon Twój, Boże, miłują" (Ps. 118, 165), co się wiary w życiu swem trzymają.

Z wiary żywej płynie dla nas szczęście jeszcze inne. Nieraz pewnie w wielkiem byłeś nieszczęściu. Wtedy to i najbliżsi twoi odstąpili od ciebie, samego się pozostawili. Powiedz mi, co jedyną było ci wtedy pociechą? Wiara twoja, nieprawda? Ta wiara, która cię do stóp krzyża zaprowadziła i to ci szeptała na ucho: cierp z Jezusem, a będziesz za to z Jezusem w niebie. Jakoż od stóp krzyża wstając, lżej było ci za każdym razem, z każdym dniem czułeś się szczęśliwszym. Aż się dusza twoja i wypogodziła. Tak ją wiara wypogodziła.

A kiedyś Boga ciężko obraził i tak piekło wrzucił w twoje sumienie, cóż wtedy to piekło stamtąd wyrzuciło? Znowu tylko wiara. Poszedłeś do spowiedzi i szczęśliwy wyszedłeś z kościoła i do domu wróciłeś szczęśliwy.

Jakaż to więc prawda, że wiara już teraz szczęście nam przynosi, bo nam przynosi spokój sumienia, w nieszczęściach nas pociesza i z piekła dźwiga nas do nieba.

Nie jeno pojedyńczych ludzi, ale i całe rodziny wiara uszczęśliwia. Chciałbym jednak, żebyś o tem nie zapominał, jaka to wiara nas uszczęśliwia. Juści nie taka, co się na samem słuchaniu kazania kończy, na samym pacierzu, ale taka, co wszystkie nasze uczynki ożywia. Człowiek, mający wiarę rzetelną, wiary tej radzi się we wszystkiem i według jej przepisów sobie postępuje. Otóż taka wiara uszczęśliwia i całe rodziny. Wejdźno, proszę, pod dach takiej ro-

dziny i patrz i słuchaj. Patrz, jaka tam zgoda między małżonkami. Serce tam jedno i myśl tam jedna. Mąż tam nie przeklina żony, żona zaś nie złorzeczy mężowi, bo im tego zabrania ich wiara. Patrz jeszcze, jakie tam układne i dzieci, jakie skromne, posłuszne. Słowo ojca, matki, jest dla nich święte. Istne to w ludzkiem ciele aniołki. Jeszcze się i rozmowom tej rodziny przysłuchaj. Słyszysz może z ust ich jakie obmowy, albo plotki jakie, albo jakie słowo nieskromne? Uchowaj Boże! Cała ich rozmowa im samym na zbawienie wychodzi, a dzieciom ich na zbudowanie. Ale tego nauczyła ich wiara. To też i obrazy Świętych Pańskich, na ścianach porozwieszane, z weselem niemałem na nich spoglądają. Ale i tobie pośród tej rodziny tak jakoś wesoło. Z domu takiej rodziny wychodząc, powiadasz: Jacy tu wszyscy szczęśliwi. A szczęście to ich wiara im daje.

Dalej wiara rzetelna szczęściem jest i dla całej gminy. Pomyśl sobie, że każdy człowiek, w gminie zamieszkały, wiarą się rządzi we wszystkiem, że tak samo i wszystkie rodziny rządzą się wiarą. Czy w takiej gminie chciałbyś ty zamieszkać, dom tam posiadać, rolę, gospodarstwo całe? Czy chciałbyś i sąsiadów mieć blisko po jednej i po drugiej stronie? Czy pragnąłbyś tego? Nieomylnie. Czemuż to? Bo byłbyś tam o wszystko spokojny. Byłbyś spokojny o twoją sławę, o łąki, o pola twoje, wiedząc o tem dobrze, że ci się i najmniejsza szkoda nie stanie. Wiedziałbyś jeszcze i o tem, że w razie jakiego nieszczęścia jeden i drugi zaraz cię podeprze. Boże drogi, żeby to znaleźć choć jedną taką gminę, a z całego świata ściągaliby się do niej ludziska, aby choć na jeden miesiąc zakosztować jej szczęścia. A jednak takiem szczęściem mogłyby wszystkie gminy oddychać, gdyby się tylko wiarą rządziły.

Ale i dla całych państw szczęścia prawdziwego w wierze przedewszystkiem szukać. Wyobraźmy sobie, że jest takie państwo, co wszystko według wiary u siebie urządza. Jakże ono wygląda? Jest tam najpierw sprawiedliwość po sądach, po urzędach. Sierota tam nie płacze na opiekuna, że ją ukrzywdził, bo na to sąd nie pozwala, ani sąsiad nie narzeka tam na swego sąsiada, że kawał jego roli sobie przywłaszczył, ani ubogi nie skarży się na to, że go bogacz uciska, bo i na to sąd nie pozwala. Jakże tam dobrze wszystkim z sprawiedliwością.

W takiem państwie rośnie jeszcze i chwała Boża, mnożą się kościoły, a dzień święty naprawdę dla wszystkich jest świętym. Sklepy więc i szynki tam pozamykane, targów i jarmarków nie widać tam nigdzie, wojsko też nie odbywa swych ćwiczeń, bo to dzień, o którym Bóg powiada: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił". Otóż w takiem państwie i żyć i umierać. Ale, gdzież go znaleźć? Gdyby jednak ci, co państwami rządzą, wiary się trzymali, stworzyliby raj na ziemi dla swoich poddanych.

Tak oto wyglądałoby państwo każde, gdyby się wiary trzymało, tak i cała gmina i rodziny całe i każdy człowiek z osobna. Gdybyśmy według wiary postępowali, mielibyśmy szczęścia dostatek. A teraz jakże nam jest? Mało bardzo między nami szczęścia, bo wiarą się nie kierujemy, ale według własnych żyjemy wymysłów.

Dla wiary dał Pan Jezus zdrowie onej niewieście, co krwawą niemoc cierpiała, a tem samem i szczęście jej dał. I dziś cierpi wielu, że narzekają i na życie swoje, że nieraz bluźnią i Bogu. Weźmy sobie wiarę naszą, jako regułę życia naszego, a szczęście doczesne i do nas też zawita. Amen.

KTÓRA?

Jeszcze owczarz Wałecki nie ochłonął z pierwszego żalu po śmierci żony, a już go ludziska zaczęli swatać.

Jedni raili mu młode wdowy, drudzy dziewki, a każdy jakby kupiec, wychwalał swój towar.

Piórkowska zaś, skoro tylko Wałecka zamknęła oczy, zaraz postanowiła sobie jedną z córek wydać za owdowiałego owczarza. A że baba była sprytna, więc też mądrze wzięła się do rzeczy.

I tak: płakał Wałecki po stracie dobrej i kochającej go żony, płakała i Piórkowska razem z nim, wysławiając cnoty nieboszczki:

— Oj, że nie znajdziecie drugiej takiej, to nie znajdziecie! — mówiła ocierając łzy fartuchem.

Dwuletnią Józinkę zabrała do siebie na czas pogrzebu; a jak owczarz przyszedł po dziecko, to mu się Piórkowska dość naopowiadać nie mogła, jak to jej dziewczyny pokochały sierotkę i na wyścigi leciały, gdy mała poprosiła o co.

Jużto trzeba przyznać, że Piórkowska nie żałowała trudów, byle tylko swoje zamysły spełnić.

Nieraz, mój Boże, słońce jak ogień dopiekało, a ona idąc w pole po kartofle, nadłożyła kawał drogi, aby porozmawiać z Wałeckim, który pasł owce na polu.

A jeżeli w niedzielę deszcz padał i Wałecki, zamknąwszy owce w owczarni, szedł do domu koło chałupy Piórkowskich, to baba wypada na drogę i dalejże go zapraszać do siebie.

— Toć nikt was w domu nie czeka... sami jeszcze, jak ten kołek w płocie... No, wstąpcie na chwilkę pogadać z moim starym!

Piórkowski nie wiele był mówiący; ale co kobiecie, to latał język, jak na kołowrocie. O każdym umiała coś powiedzieć, ale najwięcej, coprawda, o dziewkach, z któremi swatali Wałeckiego.

— Hanka — mówiła — niby to dobra dziewczyna, ale ma krzywe golenie i gębę długą, jak, za pozwoleniem, półtorak. Kaśka znowu niczego w twarzy, ale taka zła i kłótliwa, że dla djabła na żonę byłaby w sam raz. A co już Franka, to niema o czem i mówić; kuc tłusty, niemrawy, że słowa od niej wydobyć nie można, a jak co powie, to do niczego niepodobne.

Wałecki nie spieszył się z żeniaczką. Domem rządziła mu siostra, do roboty chodziła dziewka, zatem mógł powoli rozglądać się po wsi i okolicy. A że oprócz cnót i urody wymagał jeszcze sporo grosza, więc tem trudniej było mu znaleźć to, czego szukał.

Starsza Piórkowszczanka, Tekla, dosyć mu się podobała. Wesoła, robotna, o twarzy świeżej jak krew z mlekiem, no i nie uboga. I kto wie, czyby był się do niej nie zwrócił, gdyby nie drobne zdarzenie, co go odstręczyło od dziewki.

Jednego razu siedząc przed domem i patrząc na dziecko bawiące się w piasku, Wałecki smutno się zadumał.

— Biednaś ty, sieroto moja! — szepnął i łzy spłynęły mu po twarzy.

I stanęła mu przed oczami jak żywa nieboszczka żona. Rok temu uwijała się niebaga po domu, wszędzie jej było pełno, wszystkiemu dała radę; a dzisiaj śpi w mogile, a on i dziecko osamotnione.

Wtem usłyszał krzyk straszny. Zrywa się i biegnie w stronę, skąd hałas powstał; lecz zaledwie do-

szedł do rogu chałupy Piórkowskich, zatrzymał się, nie wierząc własnym oczom.

Toć to tylko Piórkowska kłóci się z sąsiadką, a córki dopomagają matce w wymyślaniu Walkowej. Owa ładna Tekla rozpuściła język, jak dziadowski bicz i używa słów tak nieprzyzwoitych, że on, chłop, czerwieni się po same uszy.

Michalina Walkówna nadbiegła też naonczas z pola i nie zdążywszy położyć grabi, ujęła matkę za rękę, nalegając na nią wzruszonym głosem:

— Uspokójcie się, matulo, i chodźcie do domu, bo to wstyd robić z siebie dziwowisko o marnego prosiaka.

Tekla sina z gniewu zawołała:

— Patrzcie ją, jaka guwernantka! Sama głupia, jak stołowe nogi, a starszych rozumu uczy...

Michalina spojrzała przez ramię na Teklę i ze śmiechem, choć nie bez gniewu, odpowiedziała:

— Tobie się pewnie zdaje, że to dzisiaj Wielki Piątek, więc tak trajkoczesz na pasyę.

Ludzie w śmiech, a Tekla grożąc pięściami krzyknęła:

— Gdybym się nie bała Boga, tobym ci gnaty połamała, ty kukurydzo rozparzona!

— Szkoda, żeś taka bogobojna, bo tanim kosztem a nawet darmo byłabyś się ładnie zabawiła — rzekła wolno Michalina. — Wiesz co? — dodała — radzę ci zatknąć komin, aby twoja dusza nie uciekła na miotle do domu.

Wszyscy, co słuchali tej kłótni, znowu się roześmiali, a Pawełek tarzając się po ziemi zaczął wołać:

— Laboga! Laboga! Tebla! Daruj życie Michalinie, a lepiej chodź i dobij mnie, bo z twojej przyczyny pewnie mnie kolki zamęczą.

Dziewczyna obejrzała się. Zobaczywszy zaś zdaleka Waleckiego, zawstydzona spuściła oczy ku ziemi.

— Dobrze ci się śmiać — rzekła niby do Pawełka — ale człowiek nie święty i musi się rozgniewać, kiedy go na wszystkie strony szarpią... Wczoraj wpadł koput Walkowej do naszej izby i byłby wszystkie szyby potłukł, a dzisiaj nie mogliśmy odpędzić prosiaka nawet kijem od cebrzyka, postawionego z pomyjami dla krowy.

Pawełek nie namyślając się odpowiedział:

— Na moją odpowiedzialność namów krowę, żeby podała skargę do sądu, a przekonasz się, że za naruszenie cudzej własności skażą prosiaka na kozę. Co się tyczy koguta, to mu przebacz, gdyż mnie się widzi, że on się zakochał w tobie i pewnie chciał ci się oświadczyć.

Biedna Tekla do reszty zgłupiała i nie wie, czy Pawełka huknąć w kark, czy też zapłacić kpinami za kpiny.

A tu czas leci, a ona stoi oniemiała, choć ludzie się śmieją i owczarz patrzy.

Nareszcie Piórkowska widząc, co się święci, ujęła się za córką.

— Najpierw — zawołała — trzeba psom, co napadają ludzi na równej drodze, wsadzić na pysk kagańce... rozumiesz teraz?

Zaledwie wymówiła te słowa, a już Pawełek stoi na czworakach przed Teklą i udając psa, warczy i szczeka, to znowu tarmosi ją za spodnicę.

Dziewka uciekła z krzykiem do chałupy, a Pawełek nie czekając, aż go Piórkowska zacznie okładać pięściami, krzyknął:

— Zdechł pies! Niema psa!

I porwawszy się z ziemi, przeskoczył przez płot, uwalniając się tym sposobem od kary za figiel.

W kilka dni potem przyszła do Waleckiego stara Małgorzata z orędzią, że wynalazła dla niego wdówkę, i to właścicielkę gruntu pod samem miastem, Kokosińską.

Małgośka, znana z wymowy i ze swatów, chwaliła jakby z karty Kokosińskę.

— Kobieta — mówi — rządna, z gospodarstwa ma duży dochód, z najmniejszą kruszyną idzie na rynek, gdyż mieszka sobie na przedmieściu niby pani. A ładna, że oczu nie można oderwać od niej... Gęba od świtu do nocy czerwona niby dachówka... A jak idzie, to każdy się ogląda na szykowną figurę!

— Kupić-niekupić, a potargować przecie nie zawadzi — pomyślał Walecki.

Więc też nie odkładając na później, zaraz w pierwszą niedzielę po widzeniu się z Małgośką poszedł go miasta, aby się poznać z Kokosińską.

Ale zaledwie wszedł do miasta, zaraz się spotkał w sklepie u Majorkowej z Michaliną Walkówną.

Dziewczyna powitała go z uśmiechem i nie tracąc czasu na próżne gadanie, zajęła się wybieraniem dla siebie płócienka na fartuchy i kaftanik.

Walecki przyglądał się uważnie Michalinie i zastanowił się nad tem, że taka młoda, a już umie rozmawiać jak należy z kupcową. A i na towarze znała się dobrze i widać stateczność nawet w takiej drobnej rzeczy, gdyż przedewszystkiem odłożyła materyały nie brudzące się łatwo i dobre do prania.

— Kiedyś taka znająca się — rzekł do dziewczyny — to mi dopomóż w kupieniu czego na sukienkę dla dziecka.

— Wełnianego czy perkaliku? — zapytała.

— Albo ja wiem? — odpowiedział, drapiąc się w ucho.

— To źle — rzekła ze śmiechem Michalina.

— Dlaczego? — zapytał zadziwiony owczarz.

— Bo człowiek powinien najprzód wiedzieć, czego żąda, aby nie żałował po niewczasie.

— Ma rozum dziewczyna! — pomyślał sobie chłop, a głośno powiada z uśmiechem:

— No, kiedyś mnie tak zganiła, to sama wybierz, co uważasz za dobre.

Nie minęło dziesięć minut, a już owczarz miał sprawunki w kieszeni i to bez łamania sobie głowy nad dobieraniem gatunku.

Skoro wyszedł na rynek, patrzy, a tu koło pompy stoi Małgośka, strzelając oczami na wszystkie strony.

— Szukałam was — szepcze ciągnąc na bok Waleckiego.

— Co się stało? — pyta owczarz.

— Kokosińska będzie tędy szła na nieszpory, to ją zobaczycie — zawołała Małgośka i oddaliła się prędko.

Walecki stanął przy straganie i niby targuje gruszki, a z pod oka spogląda, czy gdzie nie ujrzy Małgośki.

Ale dopiero, gdy zadzwoniono we wszystkie dzwony, zjawiła się swatka z jakąś imością, ubrana w niebieski kapelusz z żółtem piórem, które się chwiało jak chorągiew wywieszona w dzień galowy.

Tym razem nie przesadziła Małgośka w pochwałach. Rzeczywiście, kto spojrzał na Kokosińską, to oczu oderwać od niej nie mógł. I niedziwota, bo baba wyglądała jak... niedźwiedź przebrany za kobietę. No i strój był także wspaniały. Oprócz kapelusza z piórem, zdobił ją jeszcze rozpuszczony szal w wielkie czerwone kraty, który rogiem zamiatał śmieci z rynku. Co zaś do twarzy, to tylko księżyc

w pełni mógł jej dorównać, a przy jej rumieńcach zbladłaby nawet łuna pożaru, odbita na nocnem tle nieba.

Wałecki rozpatrzywszy się w tych pięknościach, umknął za pompę, żeby go Małgośka nie zobaczyła, a potem boczną ulicą dostał się na drogę.

— Z którą ja się też ożenię? — pomyślał sobie wracając do domu. Tekli nie weźmie, bo zła, jak jędza; Kokosińska mu się nie widzi; Pelaśkę by dostał, ale ludzie o niej różnie mówią. A trzeba na pochwałę Wałeckiego to powiedzieć, że prędzej wziąłby cnotę bez pieniędzy, niż pieniądze bez cnoty.

Przed nim może o dwa staje szła prędko drogą jakaś kobieta. Przyśpiesza więc kroku, bo mu się zdaje, że to Michalina.

— We dwojê raźniej człowiekowi i droga się tak nie dłuży — tłómaczy sobie. A naprawdę, od owej kłótni z Teklą coś go do Michaliny ciągnie.

— No, na złe, czy na dobre spotykamy się dzisiaj ciągle? — mówi, stając obok dziewczyny.

— Widzi mi się, że nic dobrego z tego dla was nie wyniknie — odpowiada wesoło Michalina.

— A czy mnie urzec myślisz, czy co? — pyta się ze śmiechem Wałecki.

— Urzec jak urzec, ale obgadać to będzie w mojej mocy.

Owczarz spogląda ciekawie na rozweseloną twarz dziewczyny i dziwi się, że dotąd nie zauważył dwojga ślicznych czarnych oczu, patrzących na ludzi filuternie tak, jakby sobie kpiły z całego świata.

(Dokończenie nastąpi.)

TO I OWO.

W JAKI SPOSÓB OBJAWIA SIĘ INSTYNKT KIERUNKU U ZWIERZĄT.

Oprócz zwykłych pięciu zmysłów istnieje u zwierząt i u plemion żyjących bliżej natury, zmysł szósty, któryby najwłaściwiej można nazwać instynktem kierunku. Jestto zdolność zachowywania w pamięci kierunku znanego, pośród wielkiej liczby zmian samego kierunku. Vangrel opowiada o mieszkańcach Syberyi północnej, iż ci w dalekich swoich podróżach po bezdrożnych lodach tundry, w cudowny iście sposób zapamiętać są zdolni dokładny kierunek ku obranemu punktowi, pomimo to, iż nic ani na niebie, ani na ziemi nie ułatwia im oryentowania się w drodze. Z taką samą łatwością Indyanie Ameryki północnej odnajdują drogę pośród niezmiernych obszarów górskich, zarosłych nieprzeniknionemi lasami, albo w bezdrożnych pustkach ław jednostajnych. Merill pisze z Kansas w tym przedmiocie: „Myśliwi i przewodnicy, przepędzający życie na płaszczyznach i górach na zachód od nas, zapędzają się częstokroć Bóg wie jak daleko, Bóg wie na jakie manowce za bizonem lub inną zwierzyną; pomimo to powracają zawsze do obozowiska w linii prostej. Objaśniają oni to tem, że bezwiednie zachowują w pamięci wszystkie zakręty drogi

Zdolność ta w daleko wyższym stopniu rozwiniętą jest u zwierząt, umiejących w sposób niepojęty zupełnie dla nas odnajdywać właściwy kierunek w okolicznościach, w którychby ani syberyjczyk ani Indyanin Ameryki północnej nie umiał sobie poradzić. Darwin przytacza historyą o koniu, dającą wiele do myślenia. Mówi on: Wyprawiłem koleją wierzchowca z Kent, via Yarmouth do Fresh-water Bay na wyspie Wight. Pierwszego dnia, kiedy używałem przejażdżki po wschodniem wybrzeżu i zawracałem do domu, koń mój nie chciał wcale powrócić do stajni, i kilkakrotnie zbaczał w inną stronę. To skłoniło mnie do powtórzenia doświadczenia i wrzeczy samej, ilekroć popuściłem trenzli, zawracał natychmiast, kłusując w kierunku wschodnim, trochę ku północy, tj. prawie w tym samym kierunku, w którym leżała dawna jego stajnia w Kent. Dosiadałem konia tego codziennie i to od wielu lat, a przecież nigdy nie zachowywał się w podobny sposób. Wyprowadziłem z tego wniosek, że w jakiśkolwiek sposób znał kierunek, z którego został przyprowadzony. Winieniem nadmienić, że ostatnia część drogi z Yarmouth do Fresh-water Bay, leży prawie w kierunku południowym. Sługa mój jeździł na nim często po tej drodze, koń jednak nie objawił nigdy chęci powrotu w tym kierunku. Nabyłem go kilka lat temu od pewnego gentlemana z sąsiedztwa, u którego dość długo przebywał.

Pan Howitt de Gippsland podaje między innemi przykład jeszcze dosadniej malujący tę zdolność. Mackinstoch z Dargo, zaganiając dwa lata temu dziką trzodę na brzegu Avon River, oddalił się od swoich ludzi na wiele mil w dół i zabłądził. Widząc że koń jego trzyma się uporczywie pewnego kierunku, zdał się na jego instynkt. Wierzchowiec prostą linią doprowadził go do obozowiska, zrobiwszy prawie 16 mil w okolicy dzikiej i bezdrożnej.

Masę mamy przykładów na poparcie istnienia zdolności tej u psów. Weźmy tylko jeden. Karol Cobbe wyprawił z Newbridge w hrabstwie Dublin, psa do Moynalty w hrabstwie Meath a ztąd w jakiś czas potem do Dublina. Pies uciekł z Dublina i tego samego rana powrócił do dawnej swej psiarni w Newbridge, przebiegłszy w ten sposób trzeci bok trójkąta, po drodze zupełnie sobie obcej.

W r. 1816 osieł należący do kapitana marynarki królewskiej Dundasa, bawiącego na Malcie, wyprawiony został na fregacie Ister, udającej się z Gibraltaru na tę wyspę. Kiedy okręt niedaleko przylądka Gata ugrzązł na ławie piaszczystej, zrzucono osła do morza, by dopłynął, jeżeli zdoła, do lądu. Słaba była nadzieja, morze bowiem było tak wysokie, że łódka, która opuściła okręt, przepadła. W kilka dni jednak, kiedy otwierano rano bramy Gibraltaru, ujrzano osła, podążającego wprost do stajni pewnego kupca, u którego żył poprzednio. Kupiec pewnym był, że osła zapomniano wziąć na fregatę Ister. Dopiero kiedy fregata w celu naprawy zawinęła do portu, dowiedział się, że osieł ów dostawszy się na ląd na przylądku Gata, trafił bez busoli, bez mapy i bez przewodnika aż do Gibraltaru. Zwierzę zrobiło około 200 mil, w okolicy górzystej, poprzecinanej strumieniami, w czasie tak krótkim, że niepodobna przypuścić, by mogło kołować po drodze.

Kilka tych przykładów wystarczy, by przekonać, że instynkt zwierzęcy, jakkolwiek nie może iść w porównanie z inteligencyą, ma na posługę zmysły, o których doskonałości my, dzieci cywilizacyi, nie mamy wyobrażenia.